

Jak grać klasykę?

Tomasz Miłkowski

Trzy niedawne premiery klasyczne w stolicy i trzy odmienne reakcje: marudzenie po *Hamlecie*, zachwyt po *Burzy* i niezdecydowanie po *Wyzwoleniu*. Jak to jest z tą klasyką?



Adam Ferency i Krzysztof Szczepaniak, *Hamlet*, Teatr Dramatyczny

Pywanie, jak traktować klasykę w teatrze, wciąż powraca, mimo głoszonej od lat wolności inscenizatora, która gwarantuje mu niezależność od autora. A jednak widzowie, zwłaszcza o bardziej tradycyjnych gustach, oczekują, że kiedy udają się na *Hamleta*, to prawdopodobnie nie zobaczą farsy, a kiedy idą na *Słomkowy kapelusz*, to nie będą oglądać dramatu egzystencjalnego. Kwestia oczekiwań? Nie tylko. Pewnie i kwestia gustu.

Nie mam tu na myśli wielokrotnie wykpionej wierności autorowi, bo jak się dobrze zastanowić, to nie bardzo wiadomo, jak miałyby się ona objawiać. Andrzej Żurowski, który był rzecznikiem bezwarunkowej wolności artystycznej teatru, w tej wolności upatrywał drogę do wciąż nowatorskiego i pociągającego widzów Szekspira. A wszystkim stęsknionym za tekstami Szekspira radził udać się do biblioteki. Rada niegłupia, zwłaszcza że przybywa nowych przekładów, czego tylko mogą nam zazdrościć Anglicy, korzystający nadal ze „starego” Szekspira.

Taki nowy przekład mogliśmy ostatnio słyszeć i oglądać na warszawskiej scenie w Teatrze Dramatycznym, gdzie Tadeusz Bradecki dał premierę *Hamleta* w tłumaczeniu Piotra Kamińskiego. Jego przekłady zdobyły już sobie w Polsce spore uznanie – autor odznacza się wielkim wyczuciem współczesnego języka, poczuciem humoru, ale jednak trzymanym na uwięzi oryginału. Inaczej mówiąc, nie fantazjuje, nie dopisuje Szekspirowi nieistniejących kwestii i nie zmienia intencji. Przekład *Hamleta* jest wyśmienity i brzmi ze sceny doskonale, zwłaszcza w ustach tytułowego bohatera, który mówi tym Szekspirem-Kamińskim, jakby to był jego język naturalny.

Spektakl nie znalazł jednak wielu przychylnych recenzentów. Wprawdzie Krzysztof Szczepaniak jako Hamlet był powszechnie chwalony, ale spektakl raczej nie, jak się zdaje z powodu nadmiernej „wierności”. Reżyser poszedł drogą Kazimierza Dejmka, czyli wczytywał się w tekst i przenosił swoją interpretację na scenę, własną pomysło-

wość skupiając na uwydatnieniu przesłania dzieła. To nie jest spektakl z dominującego wciąż na naszych scenach gatunku „reżyser ma pomysły”, ale z gatunku tych, nad którymi reżyser najpierw pomyślał, nim zabrał się do roboty. Historia opowiedziana została klarownie, co nie znaczy, że zagadki *Hamleta* zyskały jednoznaczną odpowiedź. Rzeczą teatru jest pytać, nie odpowiadać.

Tymczasem chór recenzenckich pochwał towarzyszył nie *Hamletowi*, ale *Burzy* w Teatrze Narodowym, w reżyserii Pawła Miśkiewicza. To typowy spektakl spod znaku dekonstrukcji – właściwie nowy utwór skomponowany z wielu tekstów (nie tylko Szekspira), spośród których z *Burzy* reżyser zaczerpnął najwięcej, tworząc własną opowieść. Pozostaną zapewne ze spektaklu jakieś chwile, poszczególne sceny, jak choćby tajemniczy balet żyrandoli nad opustoszałą widownią Narodowego uformowaną przez scenografkę Barbarę Hanicką na podobieństwo falującego i połyskującego odbitym światłem morza. Zdarza się od czasu do czasu jakaś zajmująco ukazana scena, jak pojednanie Prospera (Jerzy Radziwiłowicz) z jego bratem Antoniem (Jan Frycz), pełne niuansów i dwuznaczności. To jednak za mało, aby uratować ten spektakl, z którego wyparował wątek zadurzonych młodych: Mirandy i Ferdynanda, a wiele widowiskowych scen magicznych zastąpiła gimnastyka i morskie szanty. Mimo to znalazła ta *Burza* swoich widzów, co warto odnotować, choć tym, którzy chcieliby na podstawie tego spektaklu wyrobić so-

bie pojęcie o utworze Szekspira, radziłbym za Andrzejem Żurowskim udać się do biblioteki.

Mieszane reakcje nastąpiły po premierze *Wyzwolenia* Stanisława Wyspiańskiego w Teatrze Polskim w reżyserii Anny Augustynowicz, która swoje inscenizacje pisze własnym charakterem pisma. Należy do nich czarno-biała tonacja scenografii, skupienie na słowie, skrupulatna analiza tekstu, wiązane z czasem współczesnym. To wszystko widać w tym przedstawieniu, które jest dyskursem z tradycją teatralną *Wyzwolenia* – nie przypadkiem jednym z Konradów (u Augustynowicz spotykamy ich aż trzech) jest Jerzy Trela, pamiętny bohater inscenizacji Konrada Swinarskiego ze Starego Teatru. Ale przede wszystkim jest rozmową o Polsce tu i teraz, jej dziś i jutrze. Skupionemu na duchowej walce z upiorami przeszłości Konradowi średniego pokolenia (Grzegorz Falkowski) towarzyszy w tym spektaklu trzeci Konrad – Reżyser (Marcin Bubółka), przed którym rysuje się szansa wyboru drogi, oczyszczonej z gorsetu starych grzechów. Dotrzymuje Konradowi kroku w debacie, panuje – jak to reżyser – nad składnością przedstawienia. Wygląda na to, że wybiera dla siebie drogę pragmatyka. Kto wie, może w tej sztafecie pokoleń otwierają się przed nim największe nadzieje. Tak być powinno.

Jaka więc klasyka? Na pewno nie archiwalna, nie wystudzona i nie z lektur szkolnych. Niemotywowana tzw. kulturalnym obowiązkiem. I zapewne różnorodna.

Grzegorz Falkowski i Jerzy Trela, *Wyzwolenie*, Teatr Polski

